

ROMAN DĄBROWSKI.

ORACZ

(Nowela)

„Było to dziecko kompanii. Znalezione go w jednej, zniszczonej wsi rusyjskiej, na gruzach chałupy rozniesionej pociskami szrapnela. Siedział na tych gruzach apatyczny i obojętny, grzebiąc coś w stercie potrzaskanych belek i potłuczonych sprzętów. Na widok wkraczającej do wsi piechoty polskiej nie przeląkł się, nie uciekł, lecz coś jakby podziw, radość i lęk zarazem zamigotało w jego przygaszonych oczach. Nie ruszył się z miejsca, lecz nieruchomo patrzył, jak żołnierze rozstawiali broń w kozły, jak dookoła wsi zaciągano gęste warty, jak sztab kompanii umieszczał się w pół rozwalonej szopie. Bojąc się tylko, zdaje się, aby nie być odkrytym, schował się za zwęgloną belką i stamtąd obserwował ruchy kompanii.

Nie długo jednak został w tym ukryciu.

Żołnierze gawędząc wesoło, rozbiegli się po całej wsi i myszkując tu i tam przeklinali barbarzyństwo bolszewików i szukali, czy czego nie znajdą wśród ruin i zgłiszcz, jeszcze gdzieś niedługo dymiących. Dwu zadzierzysłych Mazurów, w czasie takiej wycieczki, wpadło na ukrytego chłopaka. Zerwał się i rzucił do ucieczki, lecz już silna ręka Franka Drzazgi, zwanego w kompanii pospolicie „Kalafiorem“, z powodu jego wielkiej głowy, chwyciła go za kołnierz od potarganej kurki. Szesnastoletni wyrostek przeszedł jednak do ostrej defenzywy, szarpając się i wyrывая w różne strony. Zwycięstwo Franka było niepewne, bo i kołnierz drzeć się zaczął, lecz w krytycznej chwili pomógł sprawnie „Kalafiorowi“ Wojtek Sroka i jeniec został ubezwładniony, właśnie, gdy w stronę walczących zbliżył się majestatycznym krokiem pan sierżant Gucwa.

— A wy smyki, kroć piorunów, co robicie?! zagrmiał przy nich basem.

Wojtek wyprężył się służbiście:

— Melduję pokornie, panie sierżancie, co szukając względem prowiantów, wzięliśmy jeńca, huknął.

Gucwa spojrzał na Wojtkę i na Franka, który się z „jeńcem“ borykał i potężna fala żółci zalała mu sierżanckie serce.

— Wojtek, Franek, panie święty, puścić mi chłopca, bo zdzielił Farmazon jakiegoś, będą mi cywila mordować!

Ale Franek Drzazga, jako, że to z przyrodoznan sprytny był i drugi rok w wojsku służył, nie ułakł się i nie ustąpił.

— Panie sierżancie — replikował — szpieg jest, siedział ci za tą belką i wypatrywał. Trza go do porucznika!

Sierżantowi myśl ta wydawała się wcale słuszną: nieraz i mali chłopcy ruscy byli na służbie bolszewickiej, lecz nie chciał temu zatraconemu „Kalafiorowi“ przyznać od razu słuszności, bo, jak nie bez racji mniemał, byłoby to ze znacznym uszczerbkiem jego powagi. Nasroszył więc siwilejącego wasa.

— Te, te, Franek — mruczał pogardliwie — ja'ło mądrzejsze od kury... — tfy... do licha. No zadecydował w końcu — wzięliście jeńca, koncie jedne, to go przedstawcie porucznikowi.

Jeniec tymczasem uspokoił się trochę i jeszcze z odzieniem bojaźni, a w pół z dziecięcą ciekawością przypatrywał się mundurom żołnierzy, sumiastym wasom sierżanta i srebrnym orzelkom na niebieskich maciejówkach. Popchnięty przez żołnierzy poszedł między nimi bez oporu.

Porucznik Listowski siedział wraz z kapitanem i podoficerami przy drzwiach stodoły, gdzie mieściła się „główna kwatera“ kompanii i odczytywał nadesłane rozkazy. Żołnierze w tryumfie zawlekli przed niego swą zdobycz. Po wysłuchaniu raportu porucznik popatrzał porozumiewawczo na kapitana.

— Puścić go! — rzekł.

Żołnierze odstąpili. Listowski wpatrywał się badawczo w chłopca. Był to szczupły blondyn, o błękitnych słowiańskich oczach, odzież miał zniszczoną i podartą, twarz czarną i wychudłą.

— Puszczony stał i patrzył na zebranych tak, jak dziecko przypatruje się czemuś nieznanemu a zajmującemu, jakby dziwiąc się, iż jest przedmiotem ogólnej uwagi. Było w tym trochę obawy, lecz i jakiegoś bezwiednego zaufania.

— Skąd jesteś? — zapytał Listowski.

— Z tej wsi — odrzekł niechętnie.

— Gdzież twoi rodzice?...

— Rozstrzelani... — odparł ponuro.

Oficerowie spojrzeli bystro po sobie.

— Tyś Rusin, prawosławny? — wmieszał się kapitan.

Na te słowa postać chłopca wyprostowała się, zapadła pierś podniosła się dumnie, oczy błysnęły.

— Nie — odrzekł już pewnie i głośno — jestem katolikiem, Polakiem.

Po twarzach indagujących przeleciało coś, jakby wzruszenie. Sierżant targał wasa, Wojtek i Franek stali zmieszani na boku, żalując, iż „wyłarmosili“ swojego. Oficerowie słuchali uważnie.

— Jak się nazywasz? — spytał niemniej poruszony porucznik.

— Maciej Wojnicz — odrzekł całkiem już ośmielony — myśmy byli jedni Polacy w całej wsi, dlatego rodziców rozstrzelali, mnie też chcieli, ale uciekłem. Reszta ze wsi uciekła przed wami. Ukrywałem się trzy dni... — mówił beładnie.

Naraz Listowskiemu błysła myśl:

— Tyś pewnie głodny — rzekł.

Chłopiec w milczeniu skinął głową. Listowski zwrócił się do żołnierzy:

— Sroka Drzazga, piorunem kawy i chleba!

Rozkaz został w mig wykonany i wkrótce Maciej Wojnicz siedząc w gronie oficerów posilał się kawą i żołnierskim chlebem.

— o o o —

Kompania stała w zniszczonej wsi przez kilka dni. Przez te dni Maciej kręcił się między wojskiem i zyskał sympatię żołnierzy i oficerów, a przedewszystkiem Listowskiego, który szczerze się nim zaopiekował. Młody marzyciel rozmawiał dużo z chłopcem i przekonał się, iż Maciej jest niezwykle, jak na warunki, w których wzrastał, rozwinięty. Maciej cieszył się wojskiem polskim i z dumą przyznawał się, iż jest Polakiem, a wykazywał wiadomości szczególnie z historii polskiej, które w podziw wprawiały oficerów.

— Któż to ciebie nauczył — pytał go często Listowski, a Maciej odpowiadał z powagą: „Tatusz uczył!“ — i błękitne oczy zachodziły mu wtedy mgłą smutku za „tatusiem“, którego bolszewicy rozstrzelali i do wspólnego grobu rzucili.

Wkrótce Listowski dowiedział się, iż ojciec Macjusia był człowiekiem światlejszym i wykształconym, bo leśniczym okolicznego lasu, a rozstrzelanym został, bo nie mógł ukryć swej sympatii do Polaków i otwarcie się do swej narodowości przyznawał.

Czerzycząjka nie oszczędziła jego ni jego żony.

I Maciej postanowił się zemścić i myśl ta opanowała go niepodzielnie.

Po kilku dniach postoju nadszedł rozkaz: Kompania miała ruszyć naprzód. Żołnierza zwiłali pospiesznie obozowiska, a Maciej stał i patrzył na to smutnie.

— No, Maciusiu! do widzenia chłopcze — rzekł doń Listowski i wyciągnął rękę do chłopca, którego serdecznie polubił.

Maciej spojrzał na niego i naraz powziął postanowienie.

— Panie poruczniku — rzekł — i ja pójdę z wami, może się na co przydam, a tu nie mam co robić...

I ręką wskazał na gruzy.

Porucznik zezwolił bez wahania i Wojnicz poszedł wraz z wojskiem, jako dziecie kompanii.

— o o o —

Wśród żołnierzy lubianym był bardzo i usłuszny i miły pozyskał sobie serca wszystkich, nawet sierżanta Gucwy, który początkowo mruzczał na „pasibrzucha“ i „na piaty kół w płocie“. Mimo swej szorstkości polubił Macjusia i mawiał mu często, by jak mówił, pobudzać go do wdzięczności:

— Widzisz smyku, jakby nie my, tobyś, krośse!, zginał pod płotem, panie tego. Polskie wojsko cię ocaliło, smyku, o!, co?

A Maciej przyznawał mu słuszność, był wdzięcznym i dogadzał każdemu jak umiał.

W wyproszeniu u Listowskiego tytoniu dla sierżanta, w pośredniczeniu między sierżantem a żołnierzem, który miał „nieczyste sumienie“, był niedościgłym mistrzem.

Sam miał tylko jedną słabość, którą żołnierze poznali i podrzywali czasem z niego.

Stary sierżant nazywał to bez obsłonek „waryactwem“, a Macjusia, ilekroć o tem usłyszał, obdarzał mianem fiksa. Żołnierze też naciągali go na swój sposób, lecz Maciej, który miał wiele wrodzonej marzycielskości, nie dał się zbić z tropu.

— A „waryactwem“ było to, iż chłopiec nie mógł znieść widoku niezcranych i nieobsianych pól. Sprawiało mu to ból, prawie, że fizyczny. Ziemia polska, Polska sama, był to w jego pojęciu, ogromny, bezgraniczny obszar, falujący kłossami zbóż, pełen zieloności, a potem złota dojrziałych, ciężkim plonem kłossów.

To skojarzenie Polski z uprawną rolą, ziemią zbożodajną, było u tego chłopaka jakieś obłędne, jakieś wpół mistyczne.

Toteż ilekroć przyszli do jakiejś wsi oyustoszałej, starał się namówić żołnierzy, widząc te pola niezorane i puste, by je zorali i zasiali ziarnem, często znajduwanem w pustych chałupach. Lecz spotykały go drwiny sierżanta i żołnierzy: „Maciusiu, Maciusiu! — wołali za nim często — chodźmy szybko, będziemy orać!“...

Lecz on nie obrażał się. „Da Bóg będzie mył“ — odpowiadał, uśmiechając się dobroduszenie,

Bo i jakże — myślał sobie, w głębi swej młodzieńczej duszy — wróć ludzie, wróć ci, co przed grozą wojny precz uciekli — a czyż wróciwszy te, jeno, zgłiszczają znaleźć mają, te puste ugory, poryte granatami! Toćże w tych chałupach znajdują żołnierze częstokroć tyle zboża. — Trudno-li zaorać i obsiać te puste obszary, by widziano, iż żołnierz polski nie tylko burzyć, lecz i budować umie...

Lecz nikt nie rozumiał tej głębi myśli młodzieńczej... nikt, jeno jeden tylko porucznik Listowski.

I on był marzycielem z rzędu tych niepoprawnych, on jeden rozumiał głębie piękności tej idei, idei tak dziwnej i oryginalnej. Rozumiał on, że to, co nurtuje w tym chłopcu, to nadzwyczajne i żywiołowe ukochanie ziemi, budzenie się życia, niszczenie śmierci. I zawsze słysząc wywody Macjusia błdził wzrokiem po tych pustkowiach ziemi i zamyślał się głęboko.

.....

A kompania szła naprzód. Któż zliczy któż opisze trudy żołnierza polskiego, gdy w roku 1920 odbywał kampanię kijowską? Armia szła, druzgocąc siły bolszewickie, prac zwycięsko do brzegów Dniepru, gdzie błyszczą cerkwie prastarego Kijowa. Armia polska szła, zwycięska, wielka, nadziei pełna, szła jak burza łamiąca drzew korony.

I nasza kompania szła. I przychodziło do bitew i potyczek, w których i Maciej potrosze brał udział. Raz kompania por. Listowskiego stoczyła zaciętą walkę o wieś K. w pobliżu Białe-Cerkwi. W bitwie tej i Maciej walczył i nie małe oddał usługi. To też kapitan Warmcki pochwalił go przed frontem i uroczyście wcielił w szeregi armii polskiej. Maciej nieposiadał się z radości. Listowski gratulował mu uradowany, sierżant nie szczędził, zaś, głęboko filozoficznych uwag na temat zmienności losu, w którym przysłowie o ślepej kurze i ziarnie było wielokrotnie powtarzane. Popołudniu radość ogólna wzmogła się. Oto przyszły rozkazy, iż kompania ma zostać we wsi, przez kilka dni, dla odpoczynku. Wieś była w połowie opustoszała i częściowo przez utarczkę zniszczona i ciągnęła się po jednej stronie drogi, za wsią był pas pól, ograniczony gęstym wieńcem lasu.

Wieczorem, tegoż dnia, do idącego przez wieś porucznika, zbliżył się nieśmiało Maciej.

— Panie poruczniku — zagadnął — czy zaślubiłem na nagrodę?

— Alez owszem, chłopczel czegoż chcesz? odrzekł Listowski, który domyślał się prośby Wojnicza.

— Bo ja, panie poruczniku — młody żołnierz zająknął się i poczerwieniał — chciałem prosić o pozwolenie zorania i obsiania tego pola, tam, pod lasem.

Oficer uśmiechnął się dobroliwie.

— Owszem! Ale skądże weźmiesz zboża?

— Znalazłem tam — w tej chałupie — wskazał palcem — pług mam też, tylko naprawić, a konie poproszę te od kuchni albo od trenów.

— Ha, dobrze powiem sierżantowi, by ci nie czynił trudności lecz pomógł... tylko — narazisz się na śmiech kolegów.